

Obrazy wojny

19 marca 2024

Przedmowa „Strajku”

Zdecydowałem o publikacji tego reportażu rosyjskiej dziennikarki, Swietłany Pikty, z kilku powodów. Pierwszy to ten, że w polskiej przestrzeni medialnej nie ma, bo być nie może, ani jednego głosu dziennikarskiego z innej niż ukraińska strony frontu. To nie do pomyślenia w kraju, w której tak wiele mówi się o wolności słowa, a tak niewiele się w tej sprawie robi. Portal Strajk nadrabia tę lukę. Po drugie, reportaż Pikty nie jest głosem w propagandowej wojnie, lecz tylko (i aż) obrazem wojny, która dotyka ludzi po obu stronach frontu. Trzeba to widzieć, by zdać sobie sprawę z tego, czym w swej istocie jest wojna. Po trzecie wreszcie, lektura tych przejmujących, słownych fotografii, autorstwa rosyjskiej dziennikarki, może zmusi kogoś do uzmysłowienia sobie, jaka jest wartości pokoju.

Maciej Wiśniowski

Redaktor naczelny portalu Strajk.eu



1

– Nie martw się, wszyscy są nieprzytomni.

Jest 5.30 rano. Jestem na oddziale intensywnej terapii. Pokazano mi, gdzie są umywalki i czyste ściereczki, jak rozcieńczyć wodę, ile mydła w płynie dodać.

– Umyj go tak, jak normalną osobę. Zmyj krew tam, gdzie kapie, brud. I wszystko inne.

Dostaję krótką instrukcję na temat kobiety, która miała wypadek. Nie wie jeszcze, że cała jej rodzina nie żyje, że wczoraj pochowano jej córkę.

– Rozumiesz? Zrób to.

Podchodzę do pryczy przy oknie. Żołnierz ma zasłonięte oczy, głowę zakrytą grubym bandażem, a z tyłu głowy krwawiącą ranę. To prawdziwy olbrzym, a rysy twarzy mężczyzny przypominają drewnianego bożka z podręcznika historii. Widzę, że jego ręce i nogi – o mój Boże! – są przewiązane męskimi krawatami, pięknymi, drogimi! Ta część garderoby, bezużyteczna w Doniecku, znalazła zastosowanie na oddziale intensywnej terapii.

Na dotyk ciepłej wody żołnierz uśmiecha się i marszczy nos, który pozostaje absolutnie nienaruszony, nawet niezłamany. I nagle myślę, że gdzieś go już widziałem, na sto procent, że udzielał mi wywiadu i żartował. To wrażenie jest tak silne, że próbuję sobie nawet przypomnieć jego imię i nazwisko.

Ten fakt nagle i całkowicie usuwa moje skrępowanie, myję go tak, jak umyłabym każdego krewnego, za każdym razem strasznie zadowolona – ta część ciała jest cała, a to...

Są tam kobiety i mężczyźni, spokojni i wojskowi, leżący w sali koedukacyjnej. Z sześciu łóżek na intensywnej terapii pięć jest zajętych: wypadek, cukrzyca, wypadek wojskowy, ostrzał,

ostrzał...

Żołnierz w drugim łóżku jest „świeży”, przybył wczoraj po wypadku wojskowym. Dwa pojazdy wojskowe zderzyły się w nocy, gdzie zwyczajowo jeździ się bez świateł. Nie ma rurki w tchawicy, więc może mówić. Mówi niewyraźnie, ale jego siostra rozumie: chce mu się pić. Schylam się z wodą i rurką... i nagle zdaję sobie sprawę, że poznałem tego wojownika „na sto procent”, próbuję się do niego uśmiechnąć, bo Rosjanie uśmiechają się tylko do ludzi, których znają, a on uśmiecha się do mnie swoim jasnobrązowym okiem widocznym spod bandaża – dziękuje mi.

Taka sztuczka z rzekomym „rozpoznaniem” zdarza się mojej psychice niemal na każdym łóżku. Kiedy więc dochodzi do najcięższych, z rozległym ropieniem, z dużą powierzchnią oparzeń na twarzy i rękach, zdaję sobie sprawę, że nie mam prawa doznać omdlenia, ani mdłości. To są wszyscy moi krewni.

2

– Po co ty tyle bierzesz? Tą wodą możesz umyć siebie i swoją kosę. Odlej z powrotem! – moja „instruktorka”, pielęgniarka Irina.

Woda dla całego ogromnego szpitala jest noszona ręcznie przez sanitariuszy, dozorców i wolontariuszy. Ogromne zbiorniki są napełniane, a w każdej toalecie znajduje się bateria wiader do spłukiwania, które muszą być napełniane trzy razy dziennie.

Jeden mały zbiornik gorącej wody, gotowany na kuchence, który musi być wielokrotnie rozcieńczany zimną wodą do mycia wszystkich pacjentów na oddziale intensywnej terapii.

Utopiści, a w ślad za nimi antyutopiści, zarówno zachodni, jak i rodzimi, jednogłośnie dali dupy, opisując XXI wiek. Nie mogli przewidzieć takiego zjawiska, jak reżim kijowski pozbawiający swoich obywateli najpierw prawa do ojczystego

języka, potem prawa do życia, a na końcu tych, którzy przeżyli, prawa do wody.

Najciężej chory mężczyzna nazywa się tak samo jak mój syn. Do bazy przyleciał samolot, a moja partnerka w miłosierdziu, matka Markell, zakonnica, kiedy wieczorem opowiadam jej w kolorze o jego ranach, pamięta, jak przyjmowała go w poczekalni trzy tygodnie temu.

– Czy nadal jest na intensywnej terapii?

Całą noc patrzę, jak ten facet walczy o życie. Jego klatka piersiowa faluje, sapie, a na zaroście ma zaschniętą pianę, którą bezskutecznie próbuję zmyć. Kiedy go myję, zauważam, że jego włosy są całkowicie spalone, krótkie, niezwykle sztywne, jak u Murzyna.

– Gdyby wysłano go do Rosji, miałby szansę – wzdycha pielęgniarka. Myśli jeszcze o granicach roku 91, ale na „Wielkiej Ziemi” zdarza się to bardzo często.

– Dlaczego go nie przywiozą?

– Potrzebują transportu lotniczego. Jest bardzo ciężki.

Po umyciu pacjentów procedura numer dwa – przewracanie ich, nacieranie alkoholem odleżyn, zmiana pościeli.

Najcięższy pacjent okazuje się lekki jak piórko. Bez większych trudności zmieniamy mu pieluchy.

– Stopy na piaskownicach, moje rybki, tak, że pięta zwisa w dół, stopy cierpią najbardziej, patrz!

Patrzę na przerażające czerwone pięty chłopaka i ostrożnie wkładam wkładki – to są właśnie „piaskownice”.

Chłopak strasznie jęczy, kiedy kładą go z powrotem na poduszce, a jedna z pielęgniarek nagle powtarza ten dźwięk, który widocznie zapadł jej w pamięć, wciąż się powtarzający.

Z przerażeniem spoglądałam na dużą kobietę leżącą na łóżku, którą będziemy musieli przenieść po raz ostatni. Nie wiem dlaczego, ale po zapachu, który unosi się od niej po całym oddziale, nagle zdaję sobie sprawę, że to cukrzyca. Nigdy nie miałam cukrzycy w rodzinie, nigdy wcześniej jej nie miałam.

– Ona ma cukrzycę? – pytam ponownie, aby sprawdzić swoją intuicję.

– Tak – potwierdza nieco zaskoczona pielęgniarka.

Zajmujemy się nią we czwórkę, do pomocy przychodzi młody lekarz.

Potem, krojąc owoc, nagle zdaję sobie sprawę, że to ten sam zapach i po raz pierwszy, już w domu, czuję niekontrolowane mdłości.

3

Nie wiem, dlaczego tak się stało, ale nie jest tajemnicą, że prędzej czy później wszyscy jesteśmy skazani na gnicie w ziemi i nie ma absolutnie nic, co mogłoby nas zatrzymać w materialnym świecie.

Z tej platformy eschatologicznego optymizmu rozpocznę moją trzecią część.

Niesiemy z matką Markellą amputowane przedramię i piszczel do kostnicy.

Miła kobieta wyniosła nam je na korytarz z sali operacyjnej, gdzie pacjenci leżą nawet na korytarzu, ze słowami:

– Oto prezenty dla was. Tu jest mniejszy, a tu większy.

A ja mam w głowie, o cudzie, tylko jedną myśl: ktoś został uratowany. Radość.

Jeszcze wczoraj wydawało mi się, że życie osoby po amputacji

jest czymś w rodzaju życia Rosjan poza granicami Rosji po '91 roku. Wydaje się, że jesteś i wydaje się, że cię nie ma – ani dla Rosji, ani dla kraju, w którym nagle się znalazłeś. Ale dzisiaj, po rozmowie z legendarną osobą z „Piętnastki”, która straciła nogę podczas ratowania swoich towarzyszy, jestem już zupełnie kimś innym. Dziś już postrzegam życie jako cud. Ale o tym później.

Kończyny, które zabieramy na histologię, są zawijane w pieluchy i umieszczane w workach. Krew natychmiast zaczyna wyciekać przez pieluchy.

Na zewnątrz jest ciemno i obrzydliwie, pod nogami „gówno”, płynna brązowa maź, najbardziej przypominająca biegunkę. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, pozostaje tylko jedno – spojrzeć w niebo.

Zaczyna się przeszywający błękit przedświt, czarne ptaki przelatują nad czarnymi gałęziami. Ale, niestety, nawet podnosząc wzrok, widzę, jakby ślady potwora – ściany centrum medycznego, które już dawno stało się „legalnym celem” dla wojsk ukraińskich, ponieważ przyjmuje razem z cywilami naszych chłopców, którzy zasłonili Donieck swoimi plecami.

W kostnicy jest kilka drzwi, a matuszka uporczywie próbuje otworzyć niewłaściwe zamki niewłaściwym kluczem. Jej monastyczna świadomość „mam postawione zdania – przeszkody nie istnieją”, usilnie próbuje dokonać niemożliwego.

– Matuszka, ale to nie do tych zamków, tutaj, spójrz, inne rodzaje kluczy.

Matka słyszy moje argumenty, ale robi, co jej każą.

W końcu w tej ciemności dostrzegamy sylwetkę przechodzącej żywej osoby, kobiety, i rzucamy się na nią z pytaniami, jak dostać się do biblioteki, jak dostać się do kostnicy. A najbardziej zdumiewające jest to, że zamiast zemdleć, kobieta prozaicznie wyjaśnia nam, że wejście do kostnicy znajduje się

po drugiej stronie. Taki właśnie jest Donieck.

Mniszka, która w końcu poukładała sobie wszystko w głowie (i obraz świata na tym nie ucierpiał), wkłada właściwy klucz do właściwej kłódki i trafiamy do ciemnego korytarza z noszami w rogu.

– Nie wchodźmy do środka, boję się – prosi moja towarzyszka. Chętnie się zgadzam, choć od dawna nie boję się ani cmentarzy, ani trupów.

Zostawiamy nasze „dary” przy wejściu na noszach i ponownie wychodzimy w lutową ciemność.

– Wejdźmy na chwilę do świątyni – proponuje matka Markella.

W szpitalnej świątyni, drewnianej, z papierowymi ikonami, czuję się jak na małej wyspie. Nagle zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem zmęczona wyciąganiem mojej tonącej miłości z mętnych fal egzystencji, a ona w końcu siedzi na brzegu. Nie chcę odchodzić, ale muszę.

Właśnie przekraczamy próg sanitarnej śluzy i dostajemy nowe zadanie:

– Dziewczyny – błaga pielęgniarka z izby przyjęć do „płuc” – zabierzcie śmieci, zaraz się udusimy!

Wzdychając, ładujemy przesiąknięte krwią kurtki i spodnie z butami na wózek...

Autorstwo: Swetłana Pikta

Tłumaczenie: Maciej Wiśniowski

Zdjęcie: [UNDP Ukraine](#)

Źródło: [Strajk.eu](#)